

Opowieści niesamowite (5)
z języka polskiego

wybór, wstęp i noty o autorach
Piotr Paziński

Państwowy Instytut Wydawniczy

Anna Mostowska

Strach w Zameczku

Powieść prawdziwa

Jest coś w człowieku, co nie może być odgadnionym i co nas prowadzi do chęci nabycia nadprzyrodzonych wiadomości. To wszystko, czego zrozumieć nie możemy, ma dla nas nieprzewyciężony powab. Skoro nocne pomroki okryją niebo, a długie cienie przez niepewną poświatę, co gwiazdy rzucając, powstawać zdają się po ziemnej przestrzeni, aliści wyobrażenia nasze wystawują nam tysiące mar, które żadnej istoty nie mają. Zdaje się nam, że widzimy, słyszymy, a gdy dojdziem źródła mamiącej przyczyny, żałujemy, żeśmy się dowiedzieli, iż nic w tym nadprzyrodzonego nie ma. Przypisują najbardziej płci żeńskiej ten pociąg do łatwowieżenia temu wszystkiemu, co tylko żywą ich imaginacją bawi. Lecz to tak nie jest – mężczyźni nie są uwolnieni od tego – cały rodzaj ludzki temu błędowi jest podległy, jeśli to jednak błędem nazwać można. Raczej myśleć by trzeba, że dusza nasza pojmuje istoty, które zmysłom naszym podpadać nie mogą, i że dlatego niepewne jest jej odgadnienie, iż jej materialna powłoka przeszkadza jej zapewnić się w tym, co tylko wnosić teraz może; że ten wniosek w głowie męskiej, równie jak i w kobietach, miejsce swe znajduje. Rzecz aż nadto pewna, nawet w tych, którzy najwięcej śmiałości udają i niczemu niewierzących chcą grać rolę. Próbą jest zdarzenie u mnie lat temu kilka przytrafione – to aż nadto dowodzi, że ludzie, jakiej bądź są płci bądź jakiego wieku i jakiegokolwiek rozumu, wszyscy jednym podpadają słabościom i wszyscy zawsze uwierzą, kiedy sposobu znaleźć nie mogą dociec, że

to, co za rzecz nadprzyrodzoną brali, jest jednak zdarzeniem naturalnym.

Byłam na wsi w towarzystwie dwojga osób, które lubo pełne rozumu i wiadomości, jednak tak różnych między sobą charakterów, że w żadnej rzeczy zgodzić się nie mogli. To do różnych rozmów niewyczerpaną było dla nich pobudką. Ponieważ osoby są żyjące i że może by im przykro było czytać swoje przezwiska i być wspomnianymi w tym zdarzeniu, zatają więc ich imiona, nadając im inne. Idalia – tak albowiem nazywać będę towarzyszkę mojej samotności – panna pełna rozumu i przyjemnych tysiąc posiadająca talentów. Edmond – człowiek charakteru melancholicznego, w pięknych naukach biegły, doskonały rysownik i z gruntu poczciwy – oto są osoby, które, od półtora roku na wsi żyjąc ze mną, składały obręb towarzystwa mego. Przeciwność ich charakteru do mojej przyjemności dodawała, bo niezgodny ich sposób myślenia przeszkadzał smutnemu milczeniu. Gniewał nas często Edmond, gdy nam utrzymywał, że płeć nasza nie może być użytą do tajemnicy, że się nadprzyrodzonych rzeczy boimy i guśtom wierzymy, a nigdy stale żadnego przedsięwzięcia do końca nie doprowadzimy. Nie wiem, jak długo by nam jeszcze równie przyjemne rzeczy rozprawiał, gdyby zwyczajna przygoda jednym razem nie przerwała tego gatunku rozmów i zatrudniła aż do zapomnienia wszystkiego, co się dotąd z nim działo.

Położenie mego mieszkania jest dzikie, zdaje się, że w tym miejscu ponura wróżka ulubione sobie założyła siedlisko. Puszcze, które końca zdają się nie mieć, góry, jeziora i dwa starożytne zamki: jeden na wyspie, wśród jeziora, już od dawna zamieniony w smutny klasztor, drugi na kwiecistej łące jest położony, drzewa i różne rośliny oplotły te starodawne zabytki tych, którzy w tym miejscu panowali pod nazwiskiem książąt Z...ch – tak się albowiem wieś ta zowie, która dawniej państwa tego stolicą była. Ten zamek był na

wzgórku wyniesiony. Ledwo ślady znaleźć można, że tam kiedyś mury były, wysokie wały gęstym obrosłe gajem i tak, jak gdyby kunszt działał, to, co dawniej miejscem dziedzińca było, zostało wolne i tylko jak dla ozdoby gdzieniegdzie wyrosły drzewka, dwa tylko są wnijścia do tego miejsca, i to jedno naprzeciw drugiego, z jednej strony widzieć można niewielkie pólko, a za nim ciemną puszczykę, z drugiej postrzega się tylko obszerne jezioro i wyniosłą wieżę, na której zawieszono dzwony, niekiedy smutny wydając odgłos, powiększając melanczolię, którą to miejsce wyraża.

Tam, od tego czasu, jak los mi w tej wsi mieszkać przeznaczył, zawsze dla mnie było ulubionym miejscem, gdzie po długiej przechadzce spoczywać lubiłam; wystawiłam tam szafas, który mię ochronić może od burzy lub deszczów, gdy nazbyt długo w tym miejscu czas na czytaniu lub w myślach moich trawiąc, niepogoda mnie schwyci. Wieleż to razy tam bawiąc, przeszłe wieki snuły się przez myśli moje, wieleż to razy, uniesiona gorącą imaginacją, zdawało mi się widzieć błakające się cienie starożytnych mieszkańców tego niegdyś zamieszkanego miejsca, a teraz tak opuszczonego. Lecz wkrótce zdarzenie nadzwyczajne w rzeczywistość przemieniło marzenia tych, co to samotne ustronie uczęszczać lubili. Dnia jednego, według zwyczaju mego, poszłam z książką do owego miejsca, dotąd od wszystkich mieszkańców Zameczkiem nazywanego, a że ranek niewypowiedzianie był piękny, kazałam tam zanieść moje śniadanie. Po wzięciu onego czeladź moja oddaliła się i ja sama jedna zostałam; czytałam bardzo długo i widząc po słońcu, że już południe minęło, zabierałam się wrócić do domu, gdym blisko siebie ujrzała kawalera na koniu. Był to Edmond, który, powróciwszy z przechadzki i nie znalazłszy mnie w domu, domyślił się, że pewnie w Zameczku bawiła, i tam przybył. Wstałam, on chciał skoczyć z konia, lecz jęk, który zdawał się wyjść z ziemi między mną i koniem, wstrzymał go na koniu, a mnie do

ziemi przykuł... Gdy pierwsze podziwienie ominęło, poczęliśmy szukać przyczyny tego niepojętego jęku, lecz usiłowanie nasze było nadaremne; przebiegliśmy lasek cały, już to było w pół septembra, liście opadały, przejrzeć można było z łatwością obszerne pole, które to miejsce otacza, zupełnie pod tę chwilę z żywiołów ogołoczone, a choć wszystko, jak na dłoni, rozpoznać można było, nie ujrzelśmy nawet przelatującego ptaka; cichość powietrza nie dozwoliła wnosić, aby wiatr wiejący pomiędzy drzewa dźwięk mógł jaki wydać. Dzwony milczały, pora południowa mieszkańców w domu dla pożywienia trzymała, zgoła żadna przyczyna, mimo wszelkich starań i wniosków, nie mogła nas nauczyć, co by ten okropny i przerażający jęk, o którym wątpić nie mogliśmy, że z ziemi prawie spod nóg naszych wynikł, sprawić mogło. Powróciliśmy do domu, żywo tym przejęci zdarzeniem, Edmond szukał długo jeszcze fizycznych do tego przyczyn i na koniec lubo wyznał, że znaleźć ich nie może, przystał na to równo z nami, że musiało jednak być coś takiego, czegośmy nie dostrzegli, lecz że pewnie to samo powtórzone będzie i że może się nam powtórnie uda lepiej doścignąć tego, cośmy dotąd zrozumieć nie mogli. Dzień cały i do późnej nocy strawiliśmy chwile na rozmawianiu o różnych przygodach równie jak ta niezrozumianych, takie rozmowy przyprowadziły opowiadanie rozmaitych powieści o strachach, Edmond, zwyczajem swoim, przeczył bytu rzeczom zmysłom niepodpadającym, utrzymując, iż wszystko się naturalnie dzieje, tylko trzeba rzecz dobrze zgruntować. Idalia przystała na prawdę tego wniosku, jam utrzymywała, że mogą być istoty, które pod zmysły nam nie podpadają, i przywiodłam na przykład zdarzenia w historii nam zostawione jako: widmo Pompejusza na brzegach afrykańskich, gdy mu się Geniusz Rzymu ukazał i śmierć przepowiedział, ten, który pokazał się Brutusowi; to, co Pliniusz o niewolniku swoim dowodzi, wiele innych podobnych. Lecz próżna moja była wymowa – Idalia i Edmond

pierwszy raz z sobą się zgodzili i usiłowali zbić zdanie moje, jam przy nim trwale została i tak rozeszliśmy się. Nazajutrz każdy z nas zdawał się, iż o tym, co się stało, i o tym, o czym tak wiele mówiliśmy, równie zapomniał.

W dni kilka potem ujrzałam Edmonda mocno pomieszanego, szperał ciekawie po wszystkich pokojach i apartamentach, zdawał się liczyć osoby i wybadywać, jeśliby która z kobiet domowych nie wychodziła, wszystkie jednak znajdował na miejscu, każdą zatrudnieniem sobie powierzonym zaprzętą, wypytywał się także bardzo ciekawie, jeśli ktoś mimo przejeżdżający nie przechadzał się w Zameczku, lecz że nikt nie był, że nikogo nie widziano, było powszechną odpowiedzią. Chcieliśmy dowiedzieć się przyczyny tego osobliwszego wypytywania się, wzbraniał się z początku Edmond wytłumaczyć przed nami, lecz nie mogąc znieść dłużej sam w sobie swego podziwienia, a nawet może i przestachu, tak nam rzecz swą opowiedział:

– Pamiętno paniom, jak dni temu kilka jęć słyszany w Zameczku, któregośmy dociec nie mogli, zaprzętą nam głowy, panie zdałyście się zapomnieć o tym, lecz inaczej ze mną się działo, chciałem koniecznie odgadnąć tego przyczynę i z tego powodu co dzień na to miejsce chodziłem, lecz nic nie słyszałem ani widziałem, dziś rano tą samą pobudką wiedziony, wszedłem do tego gaju, gdy oto prosto przeciw mnie ujrzałem siedzącą osobę pod szafasem. Postać jej była taka, że wraz został przekonany, iż to żadna z was, panie, być nie mogła, ile że was obydwie tylko co w swoich pokojach zostawił. Ta postać trzymała na kolanach wielką księgę czarną, zdawała się pilno czytać, była przykryta od głowy aż do nóg ciemnym welumem. Podziwienie i ciekawość sprawiły, że prędko poszedłem ku niej, lecz szelest kroków moich przerwał jej czytanie, obróciła się ku mnie, wstała, uczyniła kilka kroków poważnie i zniknęła między krzewinami. Blizuteńko niej byłem, tylko com jej nie chwycił, a jednak

nigdzie jej znaleźć nie mogłem, lubom długi czas bardzo strawił na jej szukaniu.

Idalia głośno się roześmiała, ja ścisnęłam ramionami.

– Byłeś w gorączce – rzekłam do niego – albo ducha ujrzął, a wszakże wręcz mi zawsze przeczysz, że są duchy.

Urażony Edmond urągającym się śmiechem Idalii nic nie odpowiedział, lecz odszedł z twarzą ponurą i nic cały dzień do nikogo nie przemówił. Krótco po tym zabawiwszy, według mego zwyczaju, w tym samym Zameczku, wychodząc z niego, zapomniałam mojej książki, a znalazłszy Edmonda w bawialnym moim pokoju, prosiłam go, aby poszedł po nią, co on natychmiast uczynił, lecz ledwo w kilka godzin stamtąd powrócił; pomieszenie jego było tak znaczne, gdy mi moją książkę oddawał, żem go spytała, jeśliby nie był chory lub czyli duch jaki znowu go w tym miejscu nie przywitał.

– Żartuj, pani – rzecze do mnie – lecz to jest aż nadto pewno, że się coś nadprzyrodzonego w tym miejscu dzieje, skorom wszedł na wzgórek, alic' oto postrzegam postać białą, która się zdawała nie tykać ziemi, stojącą naprzeciw mnie, w miejscu, którym się po drugiej stronie z Zameczka wychodzi; wiadomo ci, pani, że od miejsca wejścia aż do tego, którym wyjść można, liczy się kroków sto trzydzieści. Postać na miejscu stała, mogłem widzieć doskonale całą jej kibić, która prawie przezroczysta się wydawała i cienkim pokryła białym welumem; gdy pierwsze podziwienie ominięło, pobiegłem szybko ku niej, a gdym na pół znajdował się drogi, postać obróciła się poważnie i bardzo powolno zniknęła. Kilka godzin strawiłem na jej szukaniu, lecz tak jak i pierwszego razu, na próżno usiłowałem znaleźć przyczynę tak nadzwyczajnego widma.

– Jesteś chory, biedny Edmondzie – odpowiedziałam z politowaniem – czytałam w jednym dzienniku niemieckim, iż pewny człowiek bardzo uczony przez czas długi widywał tysiące postaci, których nikt nie postrzegął, zdawało mu się,

że się z nim witają, do niego mówią i rady mu dają; w tym towarzystwie widywał równie osoby zmarłe i żyjące, znajome mu bardzo dobrze i wcale nigdy od niego niewidziane, a to równie w dzień i w nocy, w domu i na ulicy, czasami natłok tak wielki mu się wydawał, iż widziano go przyciskającego się w kąt jakiej stancji swojej, aby nie być przygniecionym. Trwało to póty, póki mądry doktor i wielki jego przyjaciel, dowiedziawszy się o tym, odwiedził go w tym celu, aby go przekonał, że to choroba; dał sobie uczony człowiek wyper-swadować i zezwolił na to, aby przyjaciel przedsięwziął jego uleczenie, po czym przez dni kilka brał chłodzące napoje, potem mu mocno krwi upuszczono; podczas tej operacji zda-ło mu się, iż nacisk w jego pokoju był nadzwyczajny, a ubiór cisnących się osób w kolorach bardzo jasnych i nawet lśniących, lecz pomału wszystkie te postacie blednieć poczęły, potem podobne do cieniów się stały, na koniec zupełnie zniknęły. Odtąd nigdy już więcej nic podobnego nie widział. To zdarzenie, Edmondzie, mówi za moim wnioskiem: chorym być musisz, czy żądasz, ażebym posłała po doktora?

Edmond słuchał mnie z cierpliwością, gdy skończyła:

– Nie – rzecze – bardzo pewny jestem, że to, co po drugi raz już widzę, nie jest mamidłem wyobrażenia mego, zmysły moje są zupełnie zdrowe i masa krwi mojej nie potrzebuje być umniejszoną.

– Więc zostajesz przekonany, iż ci się w tym miejscu coś nadzwyczajnego ukazuje?

– Jestem przekonany.

– Lecz za cóż ja nic nie widzę?

– Tego nie wiem – odpowie mi Edmond – ale ponieważ o tej samej porze, to jest między piątą a szóstą, postać mi się tu powtórnie okazała, bywaj, pani, co dzień o tej godzinie w Zameczku, może równie jak i ja będziesz to widmo widziała.

– Zgoda na to – rzekłam.

Nazajutrz o naznaczonej porze kazałam, aby nam kawę tam zaniesiono, i sami pierwiej – to jest ja, Idalia i Edmond – udaliśmy się do Zameczku, lecz ledwo na wzgórek wstąpiliśmy.

– Oto ona jest – zawołał Edmond – i tak jak piorun poleciał. W moment potem powrócił, mówiąc tonem pomieszonym: – Znowu w oczach moich i kiedym prawie ją już miał schwycić, jak cień znikła.

– Kto? – zawołałyśmy obie.

– Alboście nic nie widziały?

– Nic, zgoła nic.

– To rzecz osobliwsza, jednak nigdy tak wyraźnie się nie ukazała. Co za piękna kibić! Co za kształt! Nie, ta istota śmiertelną kobietą być nie może.

– Zaręczamy cię, Edmondzie – rzeknę – żeśmy nic nie spostrzegły, lubo z największym natężeniem wlepiałyśmy oczy w to miejsce, gdzie powiadasz, żeś widział tak nadzwyczajne ukazanie się. Edmondzie, lękam się o twoją głowę.

Idalia mocno się śmiała.

– Otóż mężczyźni – rzecze – nam przypisują słabość wierzenia nadprzyrodzonym rzeczom, a oto kawaler, który wśród dnia strachy widuje.

– Idalio – powie Edmond tonem urażonym – nie, umysły moje nie są obłąkane, proszę poprzestać ten śmiech przegwizdujący.

Poznałyśmy, że Edmond był dotknięty, powróciwszy do domu, strawiłyśmy całą noc prawie na dochodzeniu tak nadzwyczajnego zdarzenia. Odtąd co dzień chodziliśmy do Zameczku. Rzadki był dzień, w którym Edmond widma tego nie postrzegł, już nie biegł za nim, był do niego przywykły, lecz stał się smutnym i mocno zamyślonym; prawie nigdy o czym innym nie rozmawialiśmy, jak o cudownej postaci lub strachu w Zameczku, tak albowiem nazywaliśmy tę niepojętą postać, która dotąd jednak tylko oczom Edmonda widzialną

była. Już tak parę tygodni było upłynęło, gdy dnia jednego, wchodząc do owego zaczarowanego miejsca, Idalia krzyknęła głosem przerażonym: „oto ona!”, i wtem upadła na ziemię. Przyskoczyliśmy do niej, twarz jej była blada, jak najbielsza chusta, wielkie łzy z oczu jej spadały, z trudnością ją podjęto i do domu zaprowadzono. Gdy mówić mogła, spytaliśmy się, co było przyczyną jej przypadku.

– Wyznaję – rzecze tonem jeszcze strach oznaczającym – że byłam warta nagany, gdym się z Edmonda naigrawała, widmo, które on widuje, i mnie się pokazało.

Opisanie jej zupełnie zgodne było z opisywaniem Edmonda.

– To dziwna – rzekł ten ostatni – właśnie dziś nic nie widziałem.

– I ja także nic nie postrzegłem ani uczułem – rzeknie do nas głos cudzy – lubo leżałem na tym samym miejscu, gdzie się strach ten ukazuje, i właśnie nade mną stać był powinien.

Na te słowa postrześliśmy sąsiada, który ciekawy własnymi przekonać się oczyma o tym, co tak wiele słyszał, udał się przebrany w podłe odzienie i kilka godzin, leżąc, przebył, czekając pory tego ukazania się. Dziwiliśmy się jego odwadze, niełatwowierny sąsiad przysiągł, iż lubo w tym razie nic nie widział; póty ścigać będzie upornego ducha, póki go dośledzi. Prosiłiśmy go wszyscy, aby trwał w tak chwalebnym przedsięwzięciu, lecz niestety, dodaliśmy:

– Stanie się z Waćpanem to, co i z Idalią.

– Zobaczysz go zapewne, a kto wie, jeśli za swoje niedowiarstwo nie będziesz ukarany – dodał Edmond – patrz na Idalię, oto chora z przestachu, a jednak od początku wierzyć nie chciała.

– Wyznaj – przerwałam – Edmondzie, że mężczyźni nie umieją w niczym zachować pomiarkowania, dawniej przeczyłeś wszystkiemu, teraz, przeciwnie, łatwowierność twoja granic nie upatruje, niedawno tak mocno uprzedzony